

Szkoła czyli O niepowodzeniach z wczoraj i powodzeniach jutro

"Nawet mądrzy nauczyciele muszą w końcu zgłupieć pod wpływem dzieci."

(Agnieszka Osiecka ironicznie w opowiadanku "Retro")

Nie jestem ani pedagogiem, ani teoretykiem dydaktyki. Ale jestem byłym uczniem (byłą uczennicą). Mogę więc z punktu widzenia ucznia poteoretyzować o niepowodzeniach w szkole. Tym bardziej, że w praktyce zaliczyłam niejedno. Na pytanie "skąd się biorą niepowodzenia w szkole?" mam uniwersalną odpowiedź: z niemożności pogodzenia teorii z praktyką. Bowiem teoretycznie nawet jeśli nie wszystko, wiadomo już bardzo wiele. A jednak w praktyce szkoła jakże często zawodzi. Z drugiej strony trudno sobie wyobrazić współczesne społeczeństwo bez szkół, nawet jeśli gdzieś w świecie są jeszcze takie społeczeństwa, które o zakładanie szkół muszą walczyć i ciągle jeszcze są też w niektórych krajach spore różnice w szkoleniu chłopców i dziewcząt (na niekorzyść dziewcząt, rozumie się).

Omawianie tematu niepowodzeń szkolnych chcę zacząć od następującej informacji: "*W latach 1950-1965 do instytucji edukacyjnych na całym świecie przyjęto mniej więcej tyle samo uczniów co podczas ostatniego tysiąclecia*". Jednym słowem coś, co przez wieki było ekskluzywne, w naszych czasach stało się masowe. Nic dziwnego, że już na początku lat 50. socjologowie amerykańscy uznali, że szkolnictwo, to nie jest ludzki, w sensie relacji "nauczyciel - uczeń", system przekazywania młodemu pokoleniu wiedzy, ale gałąź przemysłowa. Dodajmy, gałąź przemysłowa, która ma za zadanie, jak każda inna, przynieść zyski. Szkoły to zakłady produkcji. Absolwenci szkół to towar z metkami i cenami. Industrializacja i kapitalizacja przekazywania wiedzy powinna się opłacić, w przeciwnym razie, zgodnie z zasadami ekonomii, powinna być zlikwidowana.

A że szkół się oczywiście zlikwidować nie da, bo na taki regres żadne cywilizowane społeczeństwo pozwolić sobie nie może, trzeba szkoły utrzymywać z pieniędzy podatnika, bo na dobrą sprawę to inwestycja co najmniej niepewna. Rzeczywistość wygląda więc następująco: dostęp do szkół elitarnych jest nadal ekskluzywny, zaś szkoły powszechnie dostępne dla wszystkich (żeby nie rzec "dla pospólstwa") nie mogą aspirować do poziomu szkół elitarnych, bo niby jak? Zawód nauczyciela, zwłaszcza nauczyciela szkół podstawowych i średnich, nie jest dziś, nad czym ubolewam, zawodem dobrze płatnym, nie niesie za sobą społecznego prestiżu, stąd naturalną kolejną rzeczą odbywa się selekcja negatywna, a tak zwany "nauczyciel z prawdziwego zdarzenia" to postać bardziej z baśni Andersena, niż z życia.

Stąd moja wstępna teza, że akurat w szkolnictwie nie sposób pogodzić teorii z praktyką. W teorii bowiem przekazywanie wiedzy pokoleniu po nas następującemu powinno być wagi najwyższej, bo chodzi o wszystko, o jakość życia naszej progenitury, o rozwój nauk, o przyszłość naszej planety. A jest wagi jeśli nie najniższej, to, delikatnie rzecz ujmując, nie najwyższej, bo korzyść jest zbyt odległa i zbyt mglista, a korzyści doraźnych żadnych, same wydatki i kłopoty. Poza tym nikt i tak nie wie, jakie zawody będą potrzebne w przyszłości. Jak pomyślę, że w latach 60./70. gdy ja chodziłam do szkoły, takie zawody jak, na rybkę, *designer* telefonów komórkowych, administrator portalu społecznościowego, technik od manipulacji genetycznych, czy choćby lekarz medycyny estetycznej, to nawet nie było *science fiction*, a abstrakcja, to cóż my wiemy, jakich zawodów będzie potrzebować przyszłość? Dlatego nie pozostaje nam nic innego, jak skupić się na teraźniejszości.

Jeszcze do niedawna było tak, że zawód z jego tajemnicami mógł być przekazywany przez ojca synom nawet przez kilka pokoleń, a teraz jest tak, że w ciągu jednego życia trzeba mieć kilka zawodów... To o czym tu mówić? Rodzice nie są w stanie nadążyć za dziećmi, dorosłe dzieci nie są w stanie opowiedzieć rodzicom, jak właściwie wygląda ich praca. Jedyna stała w czasach obecnych to zmiana, nieustająca zmiana, nawet pisarze SF nie są już tak pewni swego, jak kiedyś. Szkoły powinny więc uczyć młodych ludzi nie tylko wykonywania kilku zawodów, ale nastawienia się na to, że wszystkie, których się akurat nauczyli, nie przydadzą się na nic, bo nie ma na nie zapotrzebowania, albo w ogóle wypadły z obiegu. Niepowodzeniem mojej szkoły - jeśli w ogóle mogę robić moim szkołom jakieś zarzuty z obecnej perspektywy czasu - jest to, że upierała się przy trwałości obranego kierunku.

Gdybym w jakiejś przyszłościowej wizji oznajmiła wtedy na lekcji geografii, że nie będę się uczyć na pamięć "prawych dopływów Wisły", bo i tak zaraz zapomnę, a jeszcze chwila i będę miała w kieszeni urządzonego, w którym będę sobie mogła w kilka sekund znaleźć wszystkie prawe i lewe dopływy wszystkich rzek świata, uznano by mnie za arogantkę i wariatkę. Zresztą nieraz uznawano. Zwłaszcza moja nauczycielka historii nie ustawiała w gnębieniu mnie pałami (dla młodszych czytelników: pała to dwója, najgorsza wtedy ocena), bo nie znajdowałam przyjemności w uczeniu się czytanek bez rozbudzenia w sobie ciekawości dziejów przeszłych. "Siadaj, pała, siadaj, pała...", męłam w głowie jej słowa i odpowiadałam mściwie w myślach "ja pani profesor też stawiam pałę, jak stąd do nieba, jak maczuga Herkulesa pod Ojcowem!", bo jak można coś, co jest tak ciekawe, jak historia, serwować uczniom w formie niestrawnego zakalca?

Tu mam więc postulat pierwszy: cokolwiek by to nie było, geografia, historia, chemia, matematyka, rysunek, muzyka, musi to być przekazywane tak ciekawie, żeby rozbudzić zainteresowanie słuchających. Pierwszym niepowodzeniem szkoły jest zabicie w uczniach ciekawości. Jeśli chodzi o mnie, nie udało się to do końca, bo ciekawość miałam już rozbudzoną w domu, ale nie daj Boże, udałoby się! Nie wyobrażam sobie swojego życia bez ciekawości czy to historii, czy matematyki... Filozof Karl Popper (1902-1994) zanotował kiedyś: *"Gdy myślałem o przyszłości, marzyłem, że któregoś dnia założę taką szkołę, w której uczniowie ucząc się nie będą się nudzić, będą z ciekawości pochylać się nad problemami i przedyskutowywać je żywo; szkołę, w której nie będą przymuszani do słuchania nieistotnych odpowiedzi na niepostawione pytania; w której nie po to będą się uczyć, żeby zaliczać egzaminy, ale żeby się czegoś nauczyć"*.

Przekazywanie suchych faktów zazwyczaj wywołuje u słuchaczy senność, a młody człowiek jest przecież pełen ciekawości życia, rozpierającej go energii, jest chłonny na wiedzę, jednak w jakiś sposób musi go ta wiedza dotyczyć, dotyczyć spraw i problemów na jego poziomie rozwoju. I tu mam postulat drugi: wspólnym mianownikiem dobierania grup do nauki nie powinna być data urodzin, a zakres zainteresowań. Klasy złożone z ludzi w tym samym wieku to jest tak naprawdę karykaturalne (podobnie zresztą jak grupy seniorów znowu, jak w szkołach, klasyfikowanych wedle wieku, czyż na samą myśl nie robi się przykro?). Klasa powinna się składać z ludzi o podobnych zainteresowaniach. Nie wiem, jak kompletować takie klasy, zwłaszcza jeśli nie są to małe grupki, ale z pewnością jest to możliwe.

Jeśli chodzi o mnie, w swoim życiu przerabiałam kilka możliwych klasyfikacji: w szkole podstawowej do klasy szóstej włącznie tylko dziewczynki w jednym wieku (ciekawe doświadczenie). W klasie siódmej i ósmej dziewczynki i chłopcy w jednym wieku (jeszcze ciekawsze). W liceum znalazłam się w tak zwanej klasie eksperymentalnej matematyczno-fizycznej z poszerzonym rosyjskim. Koedukacyjnej oczywiście (chyba innych już wtedy nie było?). Wspólnym mianownikiem było to, że przyjęto nas bez egzaminów - warunkiem były świadectwa z ostatnich dwóch lat szkoły podstawowej wyłącznie z ocenami bardzo dobrymi.

Spełniałam wprawdzie ten warunek, mimo to liceum było dla mnie katorgą. A to z tego powodu, że uczyłam się tylko z musu, praktycznie żaden przedmiot nie wydawał mi się ciekawy, nie mówiąc, ekscytujący. Tym bardziej ekscytujące było moje życie pozaszkolne, książki, filmy i - coraz częściej - teatr. Wobec szkoły wypełniałam więc - coraz bardziej niechętnie - ciężki obowiązek. A na życie pozaszkolne radośnie choć ze strachem na ramieniu organizowałam sobie czas kosztem czasu szkolnego, innymi słowy wagarowałam aż miło. Mama obliczyła mi kiedyś, już dużo później, więc w charakterze anegdotycznym, że na cztery lata przewagarowałam równy rok. Upiekło mi się o tyle, że w czasie wagarów nie rozrabiałam. No i w gruncie rzeczy edukowałam się, tyle że program miałam swój własny, wedle własnych zapotrzebowań, w dosłownym tego słowa znaczeniu, indywidualny.

Po czym los ułożył mi się tak zabawnie, że po polskiej maturze zrobiłam jeszcze raz szkołę średnią w Szwajcarii i zdałam maturę szwajcarską. Najpierw oczywiście w przyspieszonym tempie musiałam przyswoić sobie język niemiecki. W tej szkole i tej klasie wspólnym mianownikiem była motywacja uczniów. Była to (prywatna) szkoła dla dorosłych chcących nadrobić maturę. Dodam, że maturę w Szwajcarii robi się po to, by studiować. Sama goła matura (jak to jest często w Polsce) niczego nie daje (oprócz satysfakcji), do niczego nie upoważnia (oprócz studiów), matura to nie zawód. Chciałam studiować, więc nie miałam wyjścia. Przy okazji bardzo mi się przydała moja polska edukacja i to zarówno ta oficjalna, jak i ta prywatna, niejako nielegalna (jako że byłam czytana i dość dobrze zorientowana w dokonaniach filmowych i teatralnych w świecie). Miałam też postulowane różnicowanie wiekowe, choć niewielkie, wszyscy byliśmy młodzi. Przy okazji dodam, że w szwajcarskich szkołach wyższych nie ma ograniczeń wiekowych. Zapisać się i studiować może każdy, o ile ma zaliczoną szkołę średnią, lub jako wolny słuchacz, jeśli nie ma matury (a ma czas i pieniądze).

Tu mój kolejny postulat, żeby nie było niepowodzeń: ktoś, dom, szkoła, starszy partner (jak to było w moim przypadku), powinien młodego człowieka nauczyć, jak się uczyć, żeby się nauczyć. Ja się tego na dobrą sprawę nauczyłam dopiero w Szwajcarii (mój mąż był nauczycielem języków obcych w tej szkole, do której poszłam, tu podkreślę, że nadałby się do baśni Andersena, był urodzonym nauczycielem, nie żyje już, a legendy o nim nadal wśród jego byłych uczniów żyją, wiem, bo czasami wracają i do mnie). Dopiero wtedy poznałam smak prawdziwego zadowolenia z uczenia się. Ba, do tego stopnia rozsmakowałam się w uczeniu się, że zostało mi to do dziś. Przyjemność w uczeniu się ma się wtedy, gdy można ponawiać próby podejścia do zagadnienia ze świadomością, że można się mylić, nawet wielokrotnie mylić, i nikt nam nie stawia za to dwój. Pamiętamy pięć tysięcy nieudanych prób skonstruowania żarówki przez Edisona? Za pięć tysięcy pierwszym razem udało się! (jak chce anegdota).

Tu potrzebny jest też czas na zaangażowanie się w to, co się robi. Żeby osiągnąć przyjemny stan *flow* (przepływ: stan między satysfakcją a euforią, wywołany całkowitym oddaniem się jakiejś czynności), trzeba wiedzieć, że nikt i nic nie przerwie nam tego, czemu się akurat oddajemy. Stan ten szczęśliwie znałam już z oddawania się czytaniu, więc nie było trudno przełożyć go na naukę. W szkole czas jest poszatkwany, przedmioty zmieniają się jak w kalejdoskopie, ledwie się człowiek na jednym skupi, już coś innego, trudno doprawdy o stan *flow*, ale można to uczniom uświadomić w ramach nauczania, jak się uczyć. Można dziecku pozwolić robić coś wielokrotnie, z pasją, i nie przerywać, bo kolacja, bo mycie, bo spanie, bo inne duperele...

Niemiecki filozof Richard David Precht (rocznik 1964) w książce z roku 2013 pt. "Anna, die Schule und der liebe Gott. Der Verrat des Bildungssystems an unseren Kindern" ("Anna, szkoła i dobry Bóg. Zdrada naszego systemu edukacyjnego wobec naszych dzieci", niestety, nieprzetłumaczona na polski) rozprawia się radykalnie z obowiązującym szkolnictwem, jak sam podtytuł już mówi. W XIX wieku, gdy era przemysłowa wymusiła powstanie nowoczesnego szkolnictwa, władcom potrzebni byli na czas pokoju akuratni urzędnicy, na czas wojny karni

żołnierze. Szkoły urządzono na wzór koszar. "Myślący żołnierz" to oksymoron. Dobry żołnierz nie myśli. Szkoły nie miały uczyć myślenia, a dyscypliny. Żyjemy już jednak coraz głębiej w erze informatycznej, "uprzemysłowienie szkolnictwa" to przeszłość, teraz obowiązuje system zero-jedynkowy, albo się nadasz, albo odpadasz.

Brzmi okrutnie, ale nie jest tak źle jak wygląda. Teraz naprawdę można sobie ułożyć swój własny indywidualny program szkołę traktując jako wskaźnik, wsparcie, kontrolę i urząd wydający certyfikaty, dokumenty potrzebne do dossier. Liczy się wszechstronność wykształcenia i elastyczność. Przy coraz powszechniejszym przejmowaniu prac mechanicznych przez coraz bardziej doskonałe automaty, coraz bardziej liczą się kompetencje ludzkie. Nie wszyscy mogą kończyć elitarne szkoły, te nadal są elitarne, ale wszyscy mogą rozwijać swój potencjał, nawet osoby pod jakimś względem niepełnosprawne mają swoje szanse (jeszcze do niedawna naprawdę tak nie było). Poza tym obok zdobywania wiedzy fachowej potrzebnej do wykonywania zawodów można rozwijać różne umiejętności: społeczne, komunikacyjne, kooperatywne, rozwiązywania konfliktów, konkurencyjności, samoświadomości, innowacyjności, kreatywności itd. itp.

Izraelski historyk Yuval Noah Harari (rocznik 1976), autor głośnych tytułów "Sapiens: od zwierząt do bogów" i "Homo Deus. Krótka historia jutra" w swojej ostatniej książce "21 lekcji na XXI wiek" (2018) pisze: *"Mówiąc najogólniej szkoły powinny teraz uczyć umiejętności uniwersalnych. Najważniejsza będzie zdolność do radzenia sobie z nieustannymi zmianami, uczenia się nowego i zachowania duchowej równowagi w nieznanym sytuacjach. Jeśli chcemy dotrzymać kroku światu w roku 2050, musimy tworzyć nie tylko nowe idee i nowe produkty ale samych siebie stwarzając ciągle od nowa"*. Ja w tych odległych czasach żyć już pewnie nie będę, a jeśli, to resztką sił, ale dzisiejsza młodzież i dzieci będą dorosłymi ludźmi w świecie dla nas dziś niewyobrażalnym. Oby dali radę. Oby to "zglupienie mądrych nauczycieli pod wpływem dzieci" znaczyło, że nauczyciele pożegnają się ze starymi metodami i zobaczą w dzisiejszych dzieciach ludzi przyszłości, którym warto dać rozwinąć skrzydła.

*

* *

*Tekst dla pisma "EDUKACJA I DIALOG", *tłumaczenia cytatów moje*